



*Cyprano
T. Stenecum*

„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRAC

005

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34

tel./fax 813 44 95

PRZEKRÓJ

31-012 KRAKÓW

ul. Reformacka 3

50

12-12-99

Nr z dn.

Straszny był ten warszawski listopad! Ręce mam obolałe od oklasków, oczy nie chcą obesznać od łez wzruszenia, żołądek opuchnięty od popremierowych koktajli... długo bym tak nie mógł, ale na szczęście takie miesiące jak ten zdarzają się w artystycznym życiu Warszawy nieczęsto. Ciekawych wydarzeń nabierało się tyle, że każde postaram się zrelacjonować w maksymalnym skrócie, by wszystko jakoś pomieścić, i choć oczywiście wszystkiego tak czy tak nie zmieszczą, to przynajmniej odnotuję to, co osobiście na mnie wywarło największe wrażenie.

Najczęściej, przyznam od razu, biłem ostatnio brawo w Teatrze Wielkim. Bo, proszę pomyśleć, najpierw Requiem Verdiego, przygotowane przez Jacka Kaspzyka z obsadą solistów, jaka wzbudziła entuzjazm w każdej ze stolic świata: niezmiennie rzadko słuchany w Warszawie znakomity sopran Jolanty Wrożyny; nasz najlepszy mezzosopran ostatnich dziesięcioleci, gwiazda Metropolitan Opera, Stefania Toczyska; świetny tenor bułgarski związany od lat z Polską, Kafudi Kałudow; wreszcie nasz reprezentacyjny bas, oklaskiwany także i w La Scali, lecz przede wszystkim solista paryskiej Opéra Bastille, Romuald Tesarowicz. Potężny utwór Verdiego (najbardziej operowa i chyba najbardziej pogodna ze wszystkich wielkich mszy żałobnych) znalazł tym razem interpretację bliską ideału!

Potem satysfakcji dostarczyło mi wznowienie Wagnerowskiej „Walkirii”. W inscenizacji sprzed jedenastu lat, jaką – jeszcze za dyrekcji Roberta Satanowskiego – opracował jeden z najwybitniejszych reżyserów operowych świata, August Everding. Everding zmarł w styczniu w tym roku i to przypomnienie jego najświetniejszego na warszawskiej scenie osiągnięcia było jak gdyby hołdem złożonym jego pamięci. Kierownictwo muzyczne przejął Jacek Kaspzyk, dobrano też nową, międzynarodową obsadę: Brunhildę zaśpiewała Hanna Lisowska, obchodząca w tej partii 30-lecie pracy na scenie czy raczej na wielu scenach, i to tych najbardziej prestiżowych – od Covent Garden po Metropolitan, Zyglinde – znakomita Amerykanka o polskim nazwisku, Kristine Ciesinski, Wotana – Edward Crafts, Zygmunta – Douglas Spurlin, Fricke – Wanda Bargielowska, a wśród ośmiu świetnych walkirii znalazły

Ręce bolą od braw! • Trzy znaczące wieczory w Teatrze Wielkim • „Rocky Horror” z Chorzowa – atrakcyjna wizyta! • Romuald Szejda świętował dwudziestolecie sceny „Prezentacje” • „Cyrano” w Ateneum – nareszcie kawał dobrego, prawdziwego teatru • Zimerman i jego orkiestra – kapelusze z głów!

się m.in. Monika Chabros, Katarzyna Suska i Krystyna Wysocka-Kochan... Jak na nasze możliwości, stale jeszcze jeśli idzie o Wagnera nieco ograniczone, był to spektakl wywierający wielkie wrażenie, nie nużący ani przez chwilę, choć przecież trwał pięć godzin. Niezależnie od klasy solistów także orkiestra dała dowód, że pod batutą Kaspzyka stać ją na bardzo wiele.

A jeszcze później kolejny wieczór w tv, najciekawszy: balety szwedzkich choreografów – „Panna Julia” i „Carmen”. Ten pierwszy, z librettem opartym oczywiście na dramacie Strindberga, choreograficznie ułożony przez legendarną już Birgit Cullberg, to właściwie pozycja klasyczna, od niespełna 50 lat pozostająca w repertuarze zespołów baletowych całego świata (przed ćwierć wiekiem wystawiana też w Warszawie). Również i teraz, tańczona

przez Karolinę Jupowicz, Wojciecha Ślęzaka, Małgorzatę Marcinkowską i in. zyskała spore uznanie, niemniej tym, co zachwyciło nas szczególnie mocno, była „Carmen” w opracowaniu syna Birgit Cullberg, wspaniałego choreografa Matsa Eka.

Zestawienie w jednym wieczorze baletu Eka z baletem jego matki najbardziej uwidoczniło ogromną przemianę, jaka dokonała się w choreografii w ciągu dziesięcioleci. Układy Eka są maksymalnie dynamiczne, pełne ostrych, gwałtownych gestów i ruchów, pozycje tancerzy często bardzo dalekie od dawnych kryteriów estetyki, za to niesłychanie wyraziste, scena przez cały czas intensywnie pulsuje życiem, stale coś się dzieje, jesteśmy zaskakiwani lawiną niezwykle pomysłowo rozwiązywanych sytuacji... Na wielkie brawa zasługują odtwórcy tych niełatwych układów: Elżbieta Kwiatkowska

(Carmen), Anna Sasiadek (M.–Micaela), Sławomir Woźniak (José), Marcin Kaczorowski (Escamillo) i in. Powinien ten wieczór cieszyć się sporym powodzeniem!

Że jednak na co dzień człowiek karmi się nie tylko sztuką przez największe S, poszedłem też na „Rocky Horror Show”, gościnnie zwieziony do Warszawy przez chorzowski Teatr Rozrywki. To jeden z niewielu musicali brytyjskich, jaki zyskał międzynarodową popularność przed światową ekspansją Andrew Lloyd Webbera; napisany i skomponowany przez Richarda O'Briena 26 lat temu, pozostał do dziś jedynym jego znaczącym osiągnięciem. Widziałem „Rocky Horror” przed wielu laty w Londynie i szczerze powiem, że niezbyt go polubiłem, toteż na jego polską wersję nie szedłem z najlepszym nastawieniem. Tymczasem okazało się, że choć dziełko O'Briena nadal mnie nie oczarowało, to jego chorzowska realizacja Marcela Kochańczyka przyjąłem gorącymi i szczerymi brawami. Jest pomysłowa, bardzo sprawna, efektowna na miarę możliwości niewielkiej sceny i dysponuje kilkorgiem doskonałych wykonawców. Świetni są przede wszystkim Elżbieta Okupska (Narrator) i Janusz Kulik (Frank N'Furter), ale i Dariusz Kordek (demoniczny Riff-Raff) czy Magdalena Szczerbowska i Jacek Bończyk (zabawna para amantów) dobrze czują się w musicalowej konwencji.

Tylko... nie będę krył, iż od muzyki O'Briena wolę np. piosenki Charlesa Treneta, a miałem właśnie okazję posłuchania ich na jubileuszu Sceny „Prezentacje”. Ten jedyny warszawski teatr bez zespołu, choć ze znakomitymi aktorami, obchodził swoje dwudziestolecie, w dodatku pod kierownictwem niezmiennie od dwudziestu lat tego samego dyrektora, Romualda Szejda, zarazem reżysera niemal wszystkich z dotychczasowych sześćdziesięciu premier, a od czasu do czasu również i aktora. To fenomen bodaj na skalę światową! Usytuowany w baraku – pozostałości po starych zakładach Norblina, zrodzony z talentu, uporu, wyobraźni i wytrwałości Szejda, stał się ulubioną sceną warszawskich teatromanów i... warszawskich aktorów. Tylko tutaj bowiem – poza teatrem telewizyjnym – mogą się spotkać w jednej sztuce, na jednym wieczorze najlepsze gwiazdy różnych warszawskich zespołów.

Krystyna Janda i Andrzej Seweryn, Joanna Szczepkowska i Bogusław Linda, Maja Komorowska i Cezary Pazura, Magda Zawadzka i Leonard Pietraszak... przez dwadzieścia lat wystąpiło w „Prezentacjach” ponad 150 wybitnych aktorek i aktorów.

Na jubileusz Szejda ułożył i wyreżyserował spektakl piosenek Treneta; śpiewały Katarzyna Groniec i Krystyna Tkacz, narratorem i piosenkarzem zarazem był Marian Opania, występował również jego syn, Bartosz Opania i młody aktor Kacper Kuszewski. Było sympatycznie, wesoło i wzruszająco na przemian. Zabrakło mi tylko paru moich ukochanych, sławnych przebojów Treneta: „La Mer”, „Douce France”, „Le piano de la plage”... ale trudno, wiem, że wszystkiego pomieścić się nie dało, bo Trenet po prostu za dużo dobrego napisał. Ostatecznie, jak mówił Cocteau „uosabia całą epokę, cały wiek piosenki”.

No, dobrze, a teatr? Taki prawdziwy? Najprawdziwszy odnalazł się ostatnio na scenie Ateneum, gdzie Krzysztof Zaleski wyreżyserował „Cyrana de Bergerac” Rostanda. Poszedłem, i po serii nużących eksperymentów i manipulacji klasyką, jakich dokonuje się ostatnio na naszych scenach, zobaczyłem wreszcie kawał prawdziwego, solidnego, świetnego teatru. Z dobrymi, wielkimi rolami, z inscenizacją w pełni współczesną, bliską percepcji dzisiejszego widza, a jednocześnie bez niepotrzebnych udziwnień, przekłamań i schlebienia tanim gustom nedorostków, ze sprawną, przejrzystą narracją, a także – co teraz zakrawa niemal na cud! – bez mruklwego belkotania pod nosem, lecz z tekstem, którego każde wypowiedziane słowo dociera do widza. „Cyrano” w Ateneum przywraca wiarę, że mimo narastającego terroru pseudoawangardystów, teatr, ten prawdziwy, może się jeszcze zdarzyć.

Cyranem, zarazem współpolsłodawcą inscenizacji Zaleskiego, jest Piotr Fronczewski, nareszcie w roli godnej jego talentu, Roksana – jedna z najciekawszych, najinteligentniejszych i jednocześnie najbardziej atrakcyjnych aktorek młodego pokolenia, Agnieszka Warchulska. Obok nich Grzegorz Damięcki, Marian Glinka, Tomasz Dedek i in. muzyką – na gitarę i harmonijkę ustną – ozdobił spektakl Jan Janga Tomaszewski...

A na koniec bodaj największe wydarzenie warszawskiego artystycznego listopada (i nie tylko listopada, rzecz jasna): występ Krystiana Zimmermana i jego Polish Festival Orchestra. O projekcie stworzenia przez Zimmermana specjalnej orkiestry z młodych polskich muzyków i przygotowania z nią w Roku Chopinowskim wielkiego tournée po świecie z Chopinowskimi koncertami pisało już u nas bardzo wiele, także i w „Przekroju”, nie będę więc tego powtarzał raz jeszcze, zacytuję tylko wyznanie Zimmermana, dlaczego właściwie nie skorzystał z któregoś z już istniejących, świetnych zespołów. Napisał: „Wielką zaletą jest możliwość stworzenia własnego niepowtarzalnego brzmienia, a to dzięki świeżości i pasji każdego, indywidualnie wybranego do tego projektu muzyka. Zakładając orkiestrę od nowa, można bardzo precyzyjnie dostosować ją do wykonywanego repertuaru. W naszym przypadku jest to muzyka wymagająca młodzieńczej spontaniczności, wszak Koncerty fortepianowe Chopina to dzieło twórcy, który nie osiągnął jeszcze dwudziestu lat. Zatem artystyczna pasja i pełna deklaracja na rzecz wspólnego uprawiania muzyki stanowiły bardzo ważne kryterium doboru muzyków, choć najważniejsze, co znalazłem u wszystkich członków PFO, było umiłowanie muzyki”.

Zacytowałem te słowa, bo wszystko to, co chciał osiągnąć Zimmerman, odczuwa się słuchając tego koncertu. Na kończącym już jego tournée koncercie w Filharmonii Narodowej dwa tak dobrze znane Koncerty e-moll i f-moll nabrały zupełnie nowego brzmienia, nowego blasku, Zimmerman grał je, jak jeszcze nikt dotychczas i tak też grała orkiestra, będąca tutaj nie akompaniatorem, lecz w pełni równorzędnym partnerem solisty. Dramatyczne pauzy, zawieszenia dźwięku, kontrasty dynamiczne – cudowne piano i szorstkie, ostre wejścia smyczków wtedy, kiedy takie brzmienie właśnie jest potrzebne... odkryliśmy Koncerty Chopina na nowo, a pasja, z jaką wykonywano je na estradzie, udzieliła się także publiczności. Chyba nie słyszałem jeszcze w filharmonii tak długiej, tak gorącej owacji na stojąco, jaką zgotowano Zimmermanowi i jego młodemu artyście. Wzruszające przeżycie!

LUCJAN KYDRYŃSKI



Agnieszka Warchulska i Piotr Fronczewski w „Cyranie de Bergerac” na scenie Ateneum.